

WILLIAM GRAHAM SUMNER

ZAPOMNIANY
CZŁOWIEK

Tłumaczenie: Jan Lewiński



Wrocław 2022

Tytuł oryginału: *The Forgotten Man*

Copyright © 2022 Instytut Edukacji Ekonomicznej im. Ludwiga von
Misesa,
Wrocław
www.mises.pl

Tłumaczenie: Jan Lewiński (JL)

Redakcja: Marcin Zieliński
Korekta: Mateusz Benedyk

Projekt okładki i stron tytułowych: Dawid Żabiński

ISBN: 978-83-65086-44-0

Instytut Edukacji Ekonomicznej
im. Ludwiga von Misesa
pl. Strzelecki 20
50-224 Wrocław

Łamanie: PanDawer
pandawer@pandawer.pl
Wydanie pierwsze

SPIS TREŚCI

Przedmowa (Marcin Zieliński)	1
William Graham Sumner, <i>Zapomniany człowiek</i> (1883).....	7
Witold Kwaśnicki, <i>Zapomniany podatnik</i>	41

Przedmowa

Inspiracją dla przetłumaczenia i wydania tego krótkiego eseju są wykłady śp. Witolda Kwaśnickiego – profesora, który wykształcił całe zastępy ekonomistów szukających rozwiązań w wolnym rynku, a nie w nowych regulacjach i innych formach interwencjonizmu. Witek wpał swoim studentom, by przy ocenie wszelkich politycznych propozycji mieli na uwadze nie tylko bezpośrednio ich konsekwencje, lecz także konsekwencje pośrednie i dalsze. Stąd obok Frédéric Bastiata (*Co widać i czego nie widać*) i Henry’ego Hazlitta (*Ekonomia w jednej lekcji*) na pierwszym wykładzie z mikroekonomii zawsze pojawiał się William Graham Sumner i jego *Zapomniany człowiek*.

Witek pytał retorycznie: kto jak nie ekonomiści powinien zadbać o zapomnianego człowieka? Uważał, że troska o niego powinna być dla nas, ekonomistów, zadaniem priorytetowym. Jego esej z 2006 roku pt. *Zapomniany podatnik* zamieściliśmy na końcu tej broszurki.

Zapomniany człowiek to człowiek, o którym „nigdy się nie myśli”. Zapomniany człowiek „jest ofiarą reformatorów, myślicieli społecznych i dobroczyńców”, którzy, widząc, że komuś dzieje się krzywda, stwierdzają, że państwo powinno się tym zająć. Zapomniany człowiek „jest prostym, uczciwym robotnikiem, gotowym zarabiać na życie produktywną pracą”, ignorowanym, bo „nie prosi o żadne przysługi”. I to zapomniany człowiek za wszystkie te pomysły płaci – „wszystkie ciężary spadają na niego”.

Gdy Sumner pisał swój esej w 1883 roku, wydatki publiczne w Stanach Zjednoczonych nie zbliżały się nawet do poziomu

10 procent produktu krajowego brutto. Obecnie amerykańskie państwo na wszystkich szczeblach – federalnym, stanowym i lokalnym – pochłania około jednej trzeciej PKB. W Unii Europejskiej w 2021 roku wydatki publiczne stanowiły średnio ponad połowę PKB – nie jest to efekt jakiegoś wielkiego skoku spowodowanego pandemią, bo wcześniej państwa członkowskie UE wydawały niewiele mniej.

W Polsce wydatki publiczne są niższe od unijnej średniej, co nie oznacza, że są niskie – przekraczają bowiem 40 procent PKB. Największą kategorią wydatków polskiego państwa nie są wydatki na obronę narodową, bezpieczeństwo wewnętrzne i sądownictwo, ochronę zdrowia, Kościół czy nawet administrację. Najwięcej wydaje się w Polsce na tzw. ochronę socjalną – emerytury i renty (w tym „trzynastki” i „czternastki”, a być może niedługo też „piętnastki”), 500+, 300+ i różne inne formy „wsparcia”. Łącznie ta kategoria stanowi ponad jedną trzecią wydatków publicznych.

Z perspektywy czasu można by uznać za zrozumiałe, że zapomniany człowiek pozostawał zapomniany, gdy Sumner próbował zwrócić uwagę opinii publicznej na jego los. Wszak, jak wspomniałem, wydatki amerykańskiego państwa stanowiły wtedy raptem kilka procent PKB. Ale teraz, gdy np. w Polsce wydatki publiczne są w stosunku do rozmiarów gospodarki wielokrotnie wyższe, wydawać by się mogło, że powinno być inaczej.

Politycy chętnie wykorzystują niewiedzę ludzi, jeśli chodzi o płacone podatki. Fakt, iż w przypadku np. umów o pracę pracodawca potrąca całość podatków i składek płaconych przez pracownika, sprawia, że ten ostatni nigdy tych pieniędzy, które *de facto* oddaje państwu, nie ma na swoim koncie. Nie odnosi więc wrażenia, że cokolwiek państwu jest zmuszony zapłacić. Stąd później wyniki sondaży wskazujące, iż ponad 20 procent badanych uważa, że nie płaci żadnych podatków, a prawie 40 procent

sądzi, że program 500+ jest finansowany albo z pieniędzy rządowych, albo z podatków, ale płaconych przez kogoś innego.

W zaciemnieniu obrazu tego, kto w ostatecznym rozrachunku finansuje państwowe programy, swój udział ma też to, na czym skupia się debata publiczna. W kontekście istniejących i proponowanych wydatków zwykle porusza się kwestię tego, czy budżet na nie stać. Tymczasem o wiele istotniejsze powinno być pytanie, czy podatki płacone przez ludzi nie są za wysokie. Przecież żeby budżet było na cokolwiek stać, państwo musi najpierw zebrać odpowiednią kwotę w podatkach albo się zadłużyć (co oznacza wyższe niż w przeciwnym razie podatki w przyszłości). Niestety świadomość tego niknie w zalewie informacji o idących w miliardy złotych wydatkach państwa. Jednak koniec końców wszystkie te wydatki finansuje zapomniany człowiek.

Jak obrazowo opisał to Frédéric Bastiat: „Państwo nie jest i nie może być istotą jednoręczną. Posiada dwie ręce: jedną do brania, drugą do dawania. Innymi słowy, rękę surową i rękę łagodną. Działanie tej drugiej jest z konieczności podporządkowane działaniu tej pierwszej”. Oczywiście politycy chętnie eksponują „rękę łagodną”, ukrywając przy tym „rękę surową”. Przykłady?

Przez kilka ostatnich lat słyszeliśmy, że rząd ma pieniądze na politykę społeczną dzięki „skutecznej walce z mafiami wатовskimi”. Pomijając fakt, że tzw. uszczelnienie VAT przyniosło budżetowi wzrost wpływów o kilkanaście miliardów złotych rocznie, a 500+ wraz z „trzynastkami” i „czternastkami” kosztuje rocznie ponad 60 miliardów złotych (co pokazuje, że matematyka stojąca za tym twierdzeniem ewidentnie kuleje), trzeba zadać pytanie: dlaczego zamiast tworzyć nowe programy socjalne rząd nie wykorzystał tego, by po prostu obniżyć podatki (choćby „tymczasowo” podwyższone ponad dekadę temu stawki VAT), a zamiast tego wprowadził nowe?

W ostatnich miesiącach z ust przedstawicieli opozycji słyszeliśmy, że państwo stać na 20-procentową podwyżkę wynagrodzeń

dla pracowników sfery budżetowej. Skąd miałoby wziąć pieniądze? Z podatku inflacyjnego, gdyż z powodu inflacji „dziesiątki miliardów złotych więcej zapłacimy w podatkach”. I znowu to samo pytanie: dlaczego nie ulżyć ludziom obniżkami podatków, gdy galopujący wzrost cen każdego miesiąca pożera siłę nabywczą ich wynagrodzeń?

I w końcu przykład redystrybucji, która odbywa się poza sektorem publicznym. W połowie lipca prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę o „wakacjach kredytowych”. Pracom nad nią towarzyszyła wyjątkowa w ostatnich latach polityczna jednogomyślność. Ustawę poparło aż 453 posłów i 98 senatorów. Słynny rabuś Willie Sutton, zapytany o to, dlaczego napada na banki, miał odpowiedzieć: „bo tam właśnie są pieniądze”. Tym tropem poszli też politycy – zarówno partii rządzącej, jak i opozycji. Banki pieniądze mają, zyski sektora zapowiadają się rekordowe, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by ulżyć dotkniętym rosnącymi ratami kredytobiorcom. Budżet nie ucierpi, za wszystko zapłacą banki.

Wydawać by się mogło, że sprawa jest oczywista: dłużnikowi należy współczuć, bo ciąży na nim obowiązek spłaty kredytu, a wierzyciel pieniądze ma, skoro był w stanie je pożyczyć. Powszechne wyobrażenia bywają jednak zwodnicze, a debata polityczna nad ustawą o „wakacjach kredytowych” tak bardzo skupiła się nad ustawianiem banków w roli kozłów ofiarnych, których można bezkarnie pozbawiać dochodów, że tylko te wyobrażenia utrwaliła.

Nawet pobieżne zapoznanie się z tym, w jaki sposób działają banki, pozwala jednak rozwiać to złudzenie. Banki co do zasady finansują się kapitałem obcym – głównie zobowiązaniami wobec podmiotów gospodarczych i gospodarstw domowych, które lokują w nich depozyty. Kiedy pozbawia się banki przychodów odsetkowych, te tracą środki na wypłatę odsetek od ulokowanych w nich oszczędności – również oszczędności deponowanych

przez ludzi biednych i żyjących skromnie, odkładających na czarną godzinę czy z myślą o tym, by kiedyś w przyszłości mieć pieniądze na wkład własny na wymarzone mieszkanie. Wypłacanych przez banki odsetek nie da się oddzielić od odsetek od nich otrzymywanych: banki nie są skłonne ponosić kosztów wyższych od osiągniętych przychodów.

Pojawiały się czasem głosy wskazujące na koszty, jakie w wyniku „wakacji kredytowych” miałby ponieść deponenci i przyszli kredytobiorcy. Głosy te często zbywano jednak tym, że banki wcale oprocentowania lokat i kont oszczędnościowych nie podnoszą, za to chętnie podnoszą oprocentowanie kredytów. I tak utrwaliło się oczywiste kłamstwo, że szkodą dla wielu deponentów, którzy nawet nie zdają sobie sprawy, że ich bank oferuje konto oszczędnościowe albo lokatę, oprocentowane na poziomie stopy referencyjnej NBP albo i wyżej, przez co trzymają oni dalej środki na nieoprocentowanym rachunku bieżącym.

Ale pojawiały się głosy o zapomnianych właścicielach banków. W debacie publicznej własność została już dawno temu w pełni utożsamiona z kontrolą, a tę, jeśli chodzi o największe banki komercyjne – jak powszechnie wiadomo – sprawuje albo państwo, albo kapitał zagraniczny. Finansowe konsekwencje tej kontroli ponoszą jednak wszyscy akcjonariusze, również ci, którzy posiadają po kilka akcji, tak samo jak wszyscy akcjonariusze ponoszą konsekwencje podatku bankowego, regulacji i „wakacji kredytowych”.

Kim są ci zapomniani właściciele banków? W pierwszej kolejności trzeba wymienić otwarte fundusze emerytalne, które na koniec 2021 roku posiadały bezpośrednio lub pośrednio (przez PZU, posiadające akcje Alior Banku i Pekao) akcje banków o wartości ponad 50 miliardów złotych, czyli ponad dwa razy więcej, niż wyniosła wartość akcji posiadanych bezpośrednio lub pośrednio przez Skarb Państwa (nieco ponad 24 miliardy złotych). To własność nie wielkich i bogatych instytucji finansowych, lecz

15 milionów przyszłych emerytów. Polacy posiadają akcje banków też samodzielnie, chociażby w wyniku różnych programów prywatyzacyjnych, do uczestniczenia w których zachęcały ich kolejne rządy. W końcu posiadają je, jeśli zdecydowali się zainwestować w polską giełdę w ramach tzw. trzeciego filara emerytalnego, w tym przez pracownicze plany kapitałowe. Do tych ostatnich nakłaniał, głosząc hasło „budowania oszczędności Polaków”, sam premier Mateusz Morawiecki, który w kwietniu tego roku, kiedy obwieścił, że „zmusi sektor bankowy” do pomagania kredytobiorcom, nie zająknął się nawet, że oznacza to, iż zapłacą za to również ponad dwa miliony uczestników promowanych wcześniej przez niego PPK.

Sumner pisze na koniec: „Zapomniany mężczyzna i zapomniana kobieta są duszą i sercem społeczeństwa. To oni powinni być na pierwszym miejscu, to o nich powinniśmy zawsze pamiętać. [...] Jeśli już potrzeba reform społecznych, niechże wreszcie będą to programy uwolnienia zapomnianego człowieka choć od części obarczających go ciężarów”. Za rok mają się odbyć w Polsce wybory parlamentarne, które zawsze są dobrą okazją do łechtania wyborców obietnicami kolejnych dodatków i tarcz bez wspominania o nowych daninach, opłatach i podatkach. Już rozpoczęty festiwal obietnic potwierdza prawdziwość słów Bastiata, że „państwo to wielka fikcja, dzięki której każdy usiłuje żyć kosztem innych”. Ale może ktoś wreszcie przypomni sobie o zapomnianym człowieku?

Marcin Zieliński
wrzesień 2022 roku